Lwów, 19. Kwietnia. № 46. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek. Czwartek* i *Sobote.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. połr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr miesieczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłka pocztowa rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycіny mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuja sie za opłata od wiersza pismem petyt w przedział, ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłate 10 kr. stepl. za każdorazwe umieszczenie.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział IV.

PIERWSZE WRAŻENIĄ NAJMOCNIEJSZE.

(Ciąg dalszy.)

W tej chwili przybyli do brzegu, na którym stało wielu gości czekających na przybycie pana chorążego; między niemi był i pan szambelan Siarkowski w błękitnym jak niebo fraku, i jak zwykle w humorze różowym; czekał na przybycie pani brygadierowej; między oczekującemi był i sam gwardjan, ojciec Dominik i parę jeszcze innych zakonników, którzy przyszli z należytą submissyją przywitać jaśnie wielmożnego chorążego.

— Ma cousine!... czekamy cię tu wszyscy z upragnieniem, młodzi i starzy, świeccy i duchowni, by przywitać nową przybyłą do stron naszych prawdziwą perlę urjańską.

Po przemowie tak pięknej, podał rękę kuzynce i wysadził ją z powozu, aby bliższą drogą przez ogród zaprowadzić na górę. Potem wysadziwszy dziewczynę, dodał:

— I ty tu mój aniołku! mój szatanku!...

Aniołek i szatanek wymknął się szambelanowi, chcącemu ją uściskać, i zaczął się oglądać na wszystkie strony, jakby czego szukała.

Przez ten czas zgromadzona szlachta, gwardyjan, zakonniki przywitalne chorążemu cięli komplementa. Gdy już skończyli zwrócił się i szambelan ku niemu:

— Mam zaszczyt upaść do nóżek pana chorążego dobrodzieja; jak się ma szanowne zdrowie jego?

— Nie może się źle mieć! odrzekł chorąży z szyderczą niebacznością, gdy widzę przed sobą wiosnę. Asindziej mociumdzieju ślicznie wyglądasz w tym fraku, i z tą fryzurą na głowie.

— Należało to zawsze do moich szczególności, że nie lubiłem długich sukien.... i dla tego, dodał z dowcipnym uśmiechem: nigdy nie chciałem się żenić.

— Chodźmy panowie! próżna pogadanka mościumdzieju nic nie nada; chodźmy się pomodlić Bogu.

Na te słowa rozstąpili się wszyscy, i dwóch zakonników przyskoczyło na znak gwardjana, aby idącemu pod górę chorążemu podać ręce.

— Nie fatygujcie się asindzieje; ja bym was jeszcze poprowadził... ale rozstąpcie się, niech pani brygadierowa idzie naprzód. Niewiastom prym się należy; a ktoby temu nie wierzył mościumdzieju, dodał z wesołym uśmiechem, to jest tu taki, jakem żyw, ledwie od buta mego wyrósł, który wam to wytłumaczy. I obejrzał się po za siebie szukając okiem naszego młodego bohatyra.

Witold, gdy po przybiciu do brzegu powóz i jezdzce wyjechali na brzeg, pozostał oparty o prom; zapomniał o wszystkiem, i tylko patrzał za matką i córką. Obydwie zrobiły na nim nadzwyczajne wrażenie; obie wydały mu się aniołami z nieba zeszłemi; i zdało mu się, jakby on te dwie cudnie piękne twarze widział kiedyś, może tam w niebie jeszcze, nim na ziemię zeszła dusza jego. Lekkie dotknięcie zbudziło go z marzeń. Stała przed nim dziesięcioletnia dziewczynka z uśmiechem na ustach, ze łzą w oku.

— Przepraszam ciebie, za mój śmiech pusty, rzekła do niego, i porwała go za rękę. Twarz jej jeszcze była piękniejsza, okraszona wyrazem szczerej dobroci.

Witold rozczulony nie wiedział co odpowiedzieć, przycisnął tylko jej rękę do piersi, i spojrzał ku niebu, jakby chciał dziękować za tę chwilę, która wydała mu się najmilszą, jaką tylko przeżył kiedy.

— Ja źle zrobiłam, bo ty biedny sierota! mówiła dalej dziewczynka.

— Na ciebie ja bym się miał gniewać, ty luby aniołku!

— I tem gorzej jeszcze zrobiłam, że to dziś było, dziś, w dzień imienin moich.

— Imieniny twoje!... a więc Antosia...

— A tak Antosia!... cóż mi darujesz?

— Najpiękniejszy bukiet jaki tylko potrafię złożyć.

Dziewczynka klasnęła w dłonie.

— Ja kwiatki lubię bardzo, ale kiedy ty nie możesz odstąpić tej służby przy przewozie.

— Ja nie służę przy przewozie; odpowiedział Witołd z rumieńcem na twarzy.

I oglądnąwszy się w koło zoczył pomocnika starej młynarki, i poprosił go, aby jego miejsce przy promie zastąpił, sam zaś najszczęśliwszy porwał dziewczynkę za rękę i pospieszył z nią za odchodzącemi.

— Antosiu! Antosiu! ozwał się głos matki.

— Idziemy, idziemy już! odpowiedziała córka.

— A to mój młody Apollo prowadzi Antosię! ozwał się szambelan. Śliczny i poczciwy chłopak.

— Biedny sierota podobno! zagadła brygadierowa smutnym głosem.

— Sierota! ale ja przewiduję że wyjdzie na ludzi. A kuzynka wie przecie że ja mam tę szczególność, iż dobrze przewiduję i z tego to powodu mówił mi Kagliostro z którym żyłem w zażyłości.......

— Opowiadałeś mi to już szambelanie.

— I wstyd nawet słuchać mociumdzieju, że szlachcic poczciwej krwi polskiej, żył w przyjaźni z jakimś kuglarzem jarmarcznym.

— Kagliostro był hrabią.

— Dajże mi asindziej pokój z takiem hrabstwem.

Za niemi w tłumie ręka w ręce szli Witołd z Antosią. Już się doskonale poznali. Antosia dziwiła się, jak można mieć imię Witołda i pod sekretem mu powiedziała, że radaby była, gdyby on zrzucił ten strój i brzydki i jakiś smutny.

Witołd nic nie odpowiedział, ale postanowił sobie przemienić strój koniecznie.

Za przybyciem dostojnych gości rozpoczęło się nabożeństwo uroczyste, odbyte przez kanonika Wileńskiego, który umyślnie na odpust ten z Wilna przybył. Wikary klasztoru, ksiądz Łukasz miał kazania długie i wymowne, w którym zastanawiająca się nad żywotem św. Antoniego, i pokusami jakie przebył, wiele pięknego powiedział o powstrzymywaniu ludzkich namiętności. Przytomni słuchali z uwagą i skruchą; a nawet pan chorąży po skończonem nabożeństwie ozwał się do ojca gwardyjana:

— Prawdziwy Cycero mosciumdzieju:

— Wszystko z łaski jaśnie wielmożnego chorążego! odrzekł ojciec gwardyjan, powtarzając tę niezmienną odezwę swoją do łaskawego dobrodzieja.

Po nabożeństwie wszyscy dostojni goście, panowie i panie zaproszeni przez ojca gwardjana poszli do refektarza, gdzie czekał już na nich suty obiad staraniem kanafarza braciszka Symforyna sporządzony, do czego wszakże nie szczędził rad swoich i sam ojciec Cyrjak, wielki znawca i lubownik sztuki gastronomicznej; mianowicie co do ciast miał on rozmaite przepisy, zbierane przez niego z wielką troskliwością i zapisywane do ogromnej księgi, noszącej tytuł: *Memorabilia*. Dobry był obiad, ale lepsze lepsze jeszcze napitki, które wszystkie prawie pochodziły z sławnej na całą okolicę piwnicy pana chorążego, prócz starego maliniaka, który od lat niepamiętnych spoczywał w piwnicach klasztornych, i wychodził z nich tylko przy okazyach wielkich.

Z początku obiadu rozmowa jak zwykle szła leniwie dosyć, bo apetyty panów i pań, podróżą i długiem nabożeństwem zaostrzone, pracowały niepospolicie. Pan chorąży obdarzony był mimo wieku swego apetytem fenomenalnym, to też spożywał dary Boże z chwalebnym zapałem. Wnuk jego jako wychowaniec zagranicznych krajów, krzywił się z obowiązku na wszystkie przyprawy polskie, mocno korzenne. Szambelan jeden podtrzymywał rozmowę przytaczaniem anegdot o ludziach i potrawach, jakie zdybywał na czwartkowych obiadach u króla Stanisława Augusta.

— Pan stolnik Litewski i na tem się nie znał; wtrącił chorąży pogardliwie; wszystko jadał z czosnkiem.... po żydowsku....

— Z przeproszeniem acana dobrodzieja; to tylko talerze mu smarowano czosnkiem dla zaostrzenia apetytu.

— Smutny to apetyt mociumdzieju, który należy zaostrzać smarowaniami.

Dopiero gdy się wzięto do kieliszków, rozwiązały się języki, i rozmowa stała się coraz żywszą. Rozmowa zwyczajem polskim była z początku rozerwaną; jeden do sasa, drugi do lasa, rozmawiali głośno i gwarnie. Aż nareszcie także polskim obyczajem skupiła się w około rzeczy publicznej. Nigdzie tyle nie rozprawiano zawsze o polityce co w Polszcze. A więc naturalnie mówiono szeroko i długo o tym człowieku, o którym w ówczas rozprawiano nie tylko w całej Europie, ale w całym bożym świecie. Napoleon był w ówczas na najwyższym prawie szczeblu sławy i potęgi. Dla narodu rycerskiego jakim był naród polski, Napoleon musiał mieć urok niepospolity, i jeszcze więcej przez to wzbudzał zajęcia, że nie było prawie rodziny w całej Polsce która by nie miała swojego reprezentanta w jego wojskach. Najrozmaitsze krążyli przy stole o nim zdania, bo każdy swoje widzimisię przyczepiał do przyszłych planów jego. Co robić zamyśla, a mianowicie co mu robić wypada, było niewyczerpanym tematem, najpocieszniej warjowanym przez podochoconych gości. Przypisywano mu plany najzabawniejsze, a domysły o przyszłych jego wyprawach wpadały w tysiąc nocy i jedna.

Najwięcej milczącym przy tej rozmowie był szambelan Siarkowski, bo jak sam mówił o sobie, do jego szczególnych właściwości należało, że nie lubił gadać o polityce. Na prawdę nasz poczciwy szambelam był olbrzymim tchórzem politycznym, kłaniał się przed każdą władzą najbliżej go dotykającą, i unikał o ile mógł wyrzec swoje wyznanie polityczne, bojąc się wleść między młot i kowadło. Jeżeli się kiedy odezwał przy tej rozmowie, to tylko usilując polityczną rozprawę przenieść na pole anegdotycznych pogadanek.

— Bohatyr niepospolity... ale zawsze tylko Bonaparte, ozwał się; za moich czasów ledwie go znał kto w Paryżu, i dopiero ożenienie się jego z panią Beauharnais, której męża pierwszego znałem, wprowadziło go do salonu.

— Parweniusz, i nic więcej!. zagadł pan Artur głosem cieniutkim, ale z wyrazem stanowczym. Na tronie Św. Ludwika jest to ironia losu oczywista.

— Aspan gdy starsi mówią, mógłbyś milczeć ze swojemi zdaniami niedowarzonemi. I aspanu się nie dziwię, boś młody i głupi. Ale asindziej mościumdzieju, coś to szambelanował u pana stolnika, dziwię się że tam pleciesz nam coś o salonach francuskich, jakby Napoleon przez nie dopiero przyszedł do wziętości. Jest to człowiek wielki jakem żyw!. i szlachcic mociumdzieju!. Jeżeli Sobieski mógł być u nas Królem, cóż dziwnego że Bonaparte mógł zostać cesarzem francuskim. Ja w nim wielbię mociumdzieju wielkiego jenerała, i głowę nielada, który tych mieszczuchów co burmistrzowali po Francyi zapędził w myszą dziurę, i tłucze wrogów aż miło.

— Miałem zawsze antypatją do rozlewu krwi.

— I dla tego oba z stolnikiem i z wielu innemi mędrcami czwartkowymi, pięknieście nas wykierowali. Jakem żyw! mościumdzieju, jako Polak hołduje temu mocarzowi nad mocarzy, który daje sposobność synom naszym by się dobijali sławy pod nim. I dla dla tego podnoszę ten kielich za jego zdrowie: Niech żyje wielki Napoleon!.. w twoje ręce szambelanie!...

Szambelan się skrzywił jak diabeł przy wodzie święconej, lecz trudno było odmówić; wypił zatem to zdrowie, oglądając się ostrożnie na wszystkich przytomnych, by zmiarkować jakie robi to wrażenie. A postrzegłszy pomieszanie na twarzy ojca Cyrjaka, równego jak sam zucha w kwestjach politycznych, odkrząknął po chwili, i nowy wzniósł kielich.

— Zdrowie najłaskawszego Monarchy naszego, łaskawie nam panującego cesarza Aleksandra!

— Bez przypomnienia asindzieja bylibyśmy to zdrowie wypili, które nam wypić przystaje, skoro żyjemy pod jego berłem.

Wyrzekł chorąży i wypił.

— A więc jeszcze jedno zdrowie! dodał chorąży. Wypijemy mociumdzieju zdrowie naszych ziomków, co tam walczą w obcych krajach. Bodajby kiedy przyszli do nas..

— Amen! wyrzekł cichym głosem ojciec Dominik.

I dalej rozprawiali o tym przedmiocie, a każdy z przytomnych im się więcej pamięć każdego rozgrzewała pod wpływem gorących trunków, przytaczał nazwiska bliżej znajomych lub powinowatych, walczących pod orłami francuskiemi, szczególnych wypraw, w których ten lub ów się odznaczył i rozmaitych wieści jakie biegały o nich. Nie jedna też łza zabłysła w męskiem oku, na wspomnienie tych którzy już nigdy nie wrócą, bo polegli na polu sławy.

— Zawsze to lepiej mociumdzieju poledz jak na rycerza, jak na Polaka przystało, przemówił znowu chorąży zwrócony do wnuka, niżeli gnuśnieć w domu, i jak baba jaka siedzić przy kądzieli. Smutny to, smutny przyszedł czas, kiedy dla synów i wnuków naszych trąba wojenna straciła dawny swój powab. Tfu! jakem żyw!.. ja sam dziś jeszcze porwałbym za kord; a te młokosy mościumdzieju!... pożal się boże!...

Przed końcem obiadu jeszcze wymknęła się Antosia z refektarza, i pobiegła do ogrodu, gdzie na nią czekać miał Witold. Jakoż zdaleka już zobaczyła młodego chłopca, siedzącego pod lipą ogromną; przy nim leżał bukiet ogromny, a przed nim na kolanie papier jakiś.

W skokach wesołych przybiegła dziewczynka i porwała za bukiet...

— To dla mnie!.. jaki śliczny!.. dziękuję ci.. Ale cóż to za papier?..

Witold zarumienił się, sam niewiedząc dlaczego, i chciał schować papier, lecz już go wyrwała Antosia, i przypatrzywszy się zaczęła skakać i wołać.

— To ja! to ja! jak mamę kocham!... Ale na co te skrzydełka!. czy ja ptaszek...

Był to w rzeczy samej rysunek, przedstawiający wiernie oddaną twarz dziewczynki z przyczepionemi jak u aniołka skrzydłami. Aniołek unosił się w powietrzu, a pod nim w obłokach zawieszona stała matka boska, niewyraźnemi jeszcze konturami odznaczona. Najwyraźniejszą była tylko twarz jej, w której zarysach było dziwne podobieństwo matki boskiej z ołtarza kościelnego, i matki Antoniny..

— A to mama! jak mamę kocham... O jaka śliczna!.. cudownie piękna, jakby obrazek świętej. I Witołd to ty zrobił? kto? mów że! to ty Witołdzie?

— Ja próbowałem!..

— I tak prędko! i od razu takie podobieństwo!

— Bo ja te rysy dawno widziałem..,

— Widziałeś nas? gdzie? kiedy?

— A Bóg to jeden wie!.. w snach! w marzeniach!.. w sierocych marzeniach moich..

— Czego płaczesz?.. nie płacz! bo i ja się rozpłaczę...

— Ja was kocham!.. bo macie twarze aniołów!. i serca takie...

— I ja ciebie kocham! rzekła dziewczynka, i podskoczyła ku niemu, by go rączką swoją pogłaskać. I mama ciebie kochać będzie. Mama taka dobra. Ale darujesz mi ten rysunek na wiązanie.

— Jabym ci wszystko darował mój luby mały aniołku.. ale to nieskończone jeszcze...

— To drugi rysunek skończysz, a ten już będzie dla mnie. Dobrze mój Witoldziu!

Jakże się tu było oprzeć. Chłopiec był już w raju. Zdybać takie miłe, pieszczotne stworzenie, to było dla niego szczęście, niedoświadczone jeszcze.

— I kto cię nauczył tak pięknie rysować?.

— Mój najdroższy opiekun.. ojciec Dominik.

— I farbami malujesz?....

— Uczę się jeszcze..

— Musisz mnie wymalować, ale w różowej sukience... którą dostałam od mamy nn wiązanie.. Chciałam ją wziąć

dziś na siebie, ale mama mówiła, że do kościoła najlepiej ubrać się w białej sukience.

J gwarzyli z sobą dalej, a tak swobodnie, tak serdecznie, jak prawdziwe dzieci, nieoziębione jeszcze powiewem rzeczywistego życia. Rozmawiali, jak gdyby się znali od kolebki, i rozpowiadali nawzajem wszystkie drobne zdarzenia życia swego. A tak im czas przeszedł szybko, iż i dzwonek darmo zadzwonił na nieszpory, i nieszpory się skończyły, a oni jeszcze biegali po ogrodzie. Mała dziewczynka z niezwykłem zajęciem słuchała, jak jej Witołd przy każdem niemal miejscu w ogrodzie rozpowiadał wszystkie swoje wrażenia, wszystkie myśli i uczucia jakie przemarzył. I śmiała się i płakała mała dziewczynka, a w końcu zpoważniała, co ją piękniejszą jeszcze robilo....

— Antosiu! ozwał się głos matki.

— Jestem mamo! zawołala dziewczynka, i pobiegła ku matce, a za nią postępował Witołd pomału i nieśmiało.

— Wiedziałam że jesteś w ogrodzie Antosiu! ale teraz musiemy już jechać.

— Mamo kochana! popatrz jakie mi dał wiązanie, o ten poczciwy Witołd. Jaki bukiet śliczny... ale to nic jeszcze; przypatrz się mamo temu!.. kto to?. zgadnij!

Pani Wolińska wpatrzyła się z uwagą w podany sobie rysunek, i po chwili zbliżając się do małego chłopca rzekła do niego słodkim glosem.

— To ty mój mały rysowałeś?

— I powiedział że nas oboje zna już z snów i marzeń swoich.

— Biedny sierota!.. on marzył zapewne o matce, o rodzeństwie, których nieznał nigdy.

— Żebym miał taką matkę i taką siostrzyczkę.

— Widzisz mamo! on nas kocha...... i my jego kochamy.

— Poczciwe dziecko! zagadła znowu matka!.. i pocałowała go w czoło, a oczy jej zwilżyły się mimowolnemi łzami.

— Ileż masz lat dziecię moję!. mówiła dalej.

— Trzynaście lat podobno.

— Trzynaście lat!.. powtórzyła pani Wolińska z wyrazem dziwnie smutnym. I tak sam jeden opuszczony!...

— O nie sam jeden teraz!.. odrzekł chłopiec z uczuciem.

W tej chwili zbliżył się ojciec Dominik, a dalej trochę szło cale grono gości klasztornych z Chorążym i Szambelanem na czele.

— Trzynaście lat! powtórzyła raz jeszcze matka Antosi, i oczy wzniosła do góry.

— Trzynaście czy czternaście może będzie! zagadł ojciec Dominik. Idź Witołdku do przewozu teraz.

— Ja z tobą pójdę! zawołała Antosia i pobiegła za nim.

— I jakiem zdarzeniem dostał się do klasztoru?. — Ojciec Dominik opowiedział tak samo jak Szambelanowi.

— Na granicy Litewskiej, wyrzekła pani Wolińska zamyślonym patrząc przed się wzrokiem.

(C. d. n.)

Sierota.

Wiersz na nutę mazurka p. M. Madejskiego, odśpiewany przez panią Rywacką 17. Kwiet. 1855.

Tęskny, smutny los sieroty
Czyż nieznany nam?
Ni wesela, ni pieszczoty,
Ni uśmiechu tam.
A marzenia tylko tyle,
Aby przeszłość śnić,
I poglądać ku mogile
I wspomieniem żyć.

Sama jedna opuszczona
Tęskną schyla skroń;
Drzy serduszko u jej łona,
Ku nam wznosi dłoń.
Przez usteczka utrudzone
Cichą prośbę szle;
„Dajcie pomoc i ochronę—
I współczucia łzę.”

W sercach odbił się głęboko
Ten niedoli głos,
Zwrócił myśli, zwrócił oko
Na sieroty los;
I otwiera rozczulone
Każdy serce swe,
Daje pomoc i ochronę
I współczucia łzę.

Wraca uśmiech i pieszczoty
Każdy dzieckiem zwie,
Gdzie serc tyle dla sieroty,
Nie ma sierot — nie,
Wyście los jej złagodzili,
Wam więc dzięki, wam!
A zapłata w nagród chwili
Tam u niebios bram!

NIE MA JUŻ DZIECI!

Niema już dzieci u nas.

I to także należy do postępu.

Od dawna już małych dziewczynek nie było wcale, jeszcze chłopcy pozostali. Teraz i oni znikają.

Spotykamy wprawdzie wszędzie jeszcze małych bębnów, wzrostu dwóch albo trzech stóp; ale dziecko dawnych cza-

sów, dziecko zamorusane, ruchliwe, hałaśliwe, wykradające łakocie i jabłka, dziecko takie jakiem byli ojcowie nasi, nie istnieje już wcale.

Były już małe panie, teraz mamy małych panów.

Nawet i cygara są już dla nich. Te malce palą jakieś liście różane zawinięte w słomę. Kaszlą, żeby się starszymi wydawać.

Pokrywają ich jedwabiem i aksamitem, szpikują wstążkami, stroją w pióra i tak oporządzonych wysyłają na wizyty.

Ą tam z kapeluszem w ręku i włosami ufryzowanemi rozczulają matki swoje, a nudzą gości.

Ażeby przyuczyć ich wcześnie do mowy salonowej, dają dla nich bale, gdzie mają sposobność rozwinąć całą swoją gracją, wykwintność talentu i galanterja. Pan hrabia tańczy z panną niedorosłą księżniczką, a pan baronek klnie się na honor, że nie cierpi ciastek.

Na takie uroczystości daje się im kołnierzyki, fryzuje się ich, oblewa pachnącemi wódkami, uczy się ich kłaniać i prowadzi do salonu, naszpikowanych szpilkami jak lalki.

Te młode nadzieje nie śmią ciągle się bawić, godność nie dozwala im tego. Ale za to znajduje się pomiędzy niemi kilku filozofów, znudzonych światem. Spleen zagnieździł się już pomiędzy niemi. Spotykamy pięcioletnich Byronów.

Niektórzy z pomiędzy nich dają odpowiedzi, do których zaledwie najdojrzalszy wiek mógłby upoważnić. Któregoś wieczora jakiś młody pan siedział pomiędzy talerzem kasztanów smażonych i śliczną książką z obrazkami, milczący i w tej postawie w jakiej Lawrence wymalował obraz małego para Anglii.

— Co ty tu robisz i dlaczego nie bawisz się z kolegami mój mały przyjacielu? zapytała go gospodyni domu.

Podniósł oczy wzdychając.

— Cierpię na obłąd duszy — odrzekł nareszcie.

— Smarkacz wart był rózgi.

Inny wychodząc żywo z salonu, w którym się bal dziecinny odbywa, bierze kolegę za rękę i mówi doń:

— Wystaw sobie Erneście, obiecała mi, że będzie tańczyć ze mną pierwszą polkę, a tańczy ją z Gustawem. Oh kobiety, kobiety...

A posłuchaj tylko rozmów ich po skończeniu walca.

Dwóch Lowelasów, których głowy otoczone lokami niedochodzą poręczy fotelów, spacerują po salonie, trzymając się pod rękę.

— Zdawało mi się, że starasz się podobać Ludwice, — mówi jeden do drugiego — a tymczasem widzę, że bierzesz się do Zosi.

— Cóż chcesz — odpowiada tamten — Zosia ma coś... coś takiego co mnie zachwyca! Ja szaleję za nią.

I zrobił pół-obrotu na piętach nucąc pod nosem.

„Szczęście tylko w niestałości.....”

Powinien był za to pójść klęczyć do kąta.

W tem obłąkaniu dziecinnem tak łatwo pleniącem się w cieplarniach wychowania salonowego, małe dziewczynki nie dają się wyprzedzić małym chłopcom.

Jedna z nich zaproszoną była na tańcujący wieczór, ale nie chciała przyjąć zaproszenia i kiedy ją przyjaciółka namawiała do tego, rzekła:

— Daj mi pokój, kanarek mój zdechł, ostatnie moje złudzenie zniknęło z nim razem.

Inna, którą mała jej siostrzyczka namawiała do pójścia na wieczór dziecinny, gdzie miano pokazywać latarnię czarnoksięzką, odezwała się z pogardliwą minką:

— Jakto? ty wierzysz jeszcze w latarnię czarnoksięzką?!

Za pięć lat, jak będzie ich mieć dwanaście, powie razem z Korynną:

— Jak to, ty wierżysz jeszcze w miłość?

Niedawno słyszałem w jednym towarzystwie na baliku dziecinnym mówiącą Anielcię do Zosi siedzącej przy niej:

— Moja kochana, siądź no sobie gdzie indziej i zostaw to krzesło przy mnie próżne. Widzisz jak Adaś zachodzi z daleka do mnie.

Anielcia miała lat dziesięć a Zosia siedm. Adaś zaś zaczynał jedynasty.

Jakiś ojciec — rozsądny wyjątkowo — zastał pewnego razu syna najmłodszego, bijącego się na pięście z jakimciś kolegą. Dwóch dzieciaków z rękami założonemi przypatrywali się poważnie pojedynkowi.

Walka ta miała miejsce w pralni po za starym parawanem.

We czterech razem ci panowie mogli liczyć dziewiętnaście lat.

— Co robicie? — zawołał ojciec na walczących, którzy się tłukli najsumienniej.

— To jest pojedynek mój ojcze! — odrzekł syn.

— Jakto pojedynek?

— Tak jest. Ten pan utrzymuje, to co ja nie potwierdzam. To mi podrażnia nerwy i wyzwałem go.

— A ja przyjąłem — odrzekł tamten.

— Bardzo dobrze, ale w nadgrodę waszej waleczności nie będziecie jedli dwóch potraw na obiad — rzekł na to ojciec.

Ale najstraszniejszym z tego wszystkiego jak mi ów ojciec rozpowiadał, jest że jeden z nich miał oko podbite a drugi nos zakrwawiony, żaden jednak nie płakał, miałem ochotę krzyknąć na nich: «Ale płaczcie-że bębny!»

Wolę ja to prawdziwe dziecko, dziecko tradycjonalne, leniwe, łakome, samolubne, którego gdy się pytano dla czego nie płacze, kiedy ojciec w podróż wyjechał rzekło:

— Teraz muszę zjeść śniadanie, jak skończę będę płakał.

Widać, że jeszcze nie znał sztuki udawania.

A teraz niech mi będzie wolno wyznać prawdę, którą może kto za paradox weźmie.

Jakiś poeta niepamiętam któren rzekł:

«Najpewniejszem schronieniem jest matczyne łono.»

Mnie się zdaje nie obrażając nikogo, iż to zbyt poetyczne twierdzenie.

Przed nim i po nim wielu już innych mówili o sercu matek, jako o arcydziele stworzenia.

Możnaby całą kulę ziemską opasać wszystkiemi wierszami spisanemi w tym przedmiocie.

A jednak niech wybaczą mi poeci, ale matki jeżeli nie nie wszystkie, to przynajmniej w wielkiej liczbie, są katami własnych swoich dzieci.

Proszę się więc nie gorszyć się i nie krzyczeć zbyt na mnie. Trzeba przypatrywać się rzeczom spokojnie. Potem możecie skazać na ogień jeżeli chcecie autora tego niewinnego twierdzenia, ale słuchajcie dowodów.

Naprzykład nadchodzi niedziela. Rodziny myślą o spoczynku, i jeżeli czas na to pozwala, jeżeli nie ma ani deszczu, ani wiatru, ani śniegu co się rzadko zdarza, niektóre z nich wybierają się na spacer. Stroją się więc dorośli i dzieci.

Tu się rozpoczyna prawdziwe męczeństwo.

Dzieci wyglądają prześlicznie, wspaniale, promieniejąco, matka najszczęśliwsza w świecie, zachwyconą jest własnem swojem dzieckiem: Wychodzą.

— Robercie strzeż się!

— Henryku uważaj!

— Nie gnieć kołnierzów!

— Nie biegaj!

— Nie skacz!

— Zawalasz się!

— Cały jesteś zabłocony!

— Patrzaj że smarkaczu, gdzie stawiasz nogi!

— Ty smarkaczu!

— Ty nicponiu!

I takie gderania trwają trzy albo cztery godziny, bez żadnej przerwy.

Ta matka ubrała dzieci dla siebie samej tylko, są one utrzymywane dla niej, przystrojone dla niej jednej. To małe pawie. A jeżeli z tem wszystkiem będą mogły się bawić, niech się bawią.

Na tem cała sztuka zależy, żeby dzieci te wyglądały jak lalki. Nawet źle jest, że w tak drażliwych okolicznościach posiadają ręce i nogi. Powinnyby one być wprost automatami na sprężynach.

Naturalnym wypływem tej wielkiej miłości jest, że dziecko staje się bardzo nieszczęśliwem.

Męczarnia, którą te nieszczęśliwe istoty wytrzymać muszą na spacerze, powtarza się znów na balu, ale z podwojoną siłą. Pod żadnym pozorem dziecko nie powinno się bawić dla siebie samego, to jest, nie wolno mu ani skakać, ani biegać, ani figlować, pozbawione jest wolnego użytku członków.

Powinno ono chodzić, kłaniać się, zaokrąglać łokcie, podług danej mu nauki.

A jeżeli się nudzi, to już chyba jego własna w tem wina. Kołnierz i mankietki są bez żadnego zagięcia. Zdawałoby się, że dopiero co wyszło z pudełka. Matka tryumfująca jest w zachwyceniu.

Można by je pochwalić: «Co to za prześliczna marjonetka.»

To samo męczeństwo w wyższym jeszcze stopniu wznawia się na wsi.

Może jakie zuchwałe umysły pomyślą sobie, iż życie na wsi powinnoby więcej nastręczać wolności, i że tam dzieci nie uwłaczając zbytecznie swojej powadze, mogą się bawić cokolwiek.

A ja twierdzę że nie.

Chybaście zapomnieli, że pani ich matka znajdując się na wsi oddaje wizyty. Dzieci więc są przystrojone jakby jakie świętości. Powinny być pięknie przystrojone, żeby ci, u których była z wizytą, mogli powiedzieć po ich odejściu: «To są wybornie wychowane dzieci!»

Jeżeli naprzykład Pawełek ma ochotę tarzać się gdzie w sianie, dostaje natychmiast rozkaz spacerowania małemi i odmierzonemi krokami w jakiej paradnej alei.

Jeżeli Józio ma ochotę wleść na drzewo, matka każe Józiowi nie odstępować na krok od wujaszka.

A niech nikt nie waży się wspomnieć o huśtawce albo grach jakich. To są zabawy niezdrowe, a nadewszystko można przy nich powalać ubiór.

Dzieci zapominają zawsze, że stanowią część wyprawy. Co za czarna niewdzięczność!

Pokazuje się je gościom, jak szale tureckie albo klejnoty.

Przed chwilą przytaczyłem ten wiersz:

«Najpewniejszem schronieniem jest matczyne łono.»

Niechnoby dziecko próbowało udać się do tego schronienia, podczas balu i kiedy pani matka jest wystrojoną.

Zobaczyliśmy jakby je przyjęto.

Owe najpewniejsze schronienie przekształciłoby się dla niego *na carcere duro* powieścio-pisarzy.

A malcze, nieznośny bębnie czy ty nie widzisz, że możesz pognieść najpewniejsze schronienie! Jakaż wina wyrówna tej niezgrabności. To jest zbrodnia obrazy wstążek! Żadna kara nie będzie dostateczną za takie przewinienie! Prędzej dajcie tu rózgi!

Najpewniejsze schronienie wtenczas dopiero staje się pewnem, kiedy twoja pani matka jest w szlafroku, niezapomnij o tem.

I jeszcze trzeba dodać, jeżeli ten szlafrok nie jest nowo sprawiony.

Ale skończmy już ten niebezpieczny artykuł. Ileż pięknych rąk gotowe się podnieść na nierozważnego obrońcę tego zuchwałego twierdzenia.

Teatr lwowski.

Dane na korzyść budującego się domu dla sierot, zostającego pod opieką zakładu szycia, przedstawienie zgromadziło tak licznych widzów jak już od dawna w teatrze niewidziano. Gdyby teatr mógł był pomieścić drugie tyle widzów, to jeszczeby się wszyscy pragnący być na tem przedstawieniu niebyli pomieścili. Dobijanie się o miejsce w teatrze było niezwyczajne we Lwowie. Od kilku dni wyłącznie tylko mówiono o tem przedstawieniu; jedni się cieszyli że zdoławszy otrzymać bilet pójdą nań, drudzy z żalem odpowiadali, że dla nich już nie stało biletów. Zajęcie się tem było powszechne. Tak to pomysł trafnie pochwycony, zręcznie pokierowany i korzyść znaczną przyniósł do funduszu ubogich sierot, i przyjemność wielką sprawił powszechności.

Po uwerturze z opery Marty Flotowa odegranej przez orkiestrę, nastąpiła scena i arja z 5. aktu proroka, wykonana przez Panią Rywackę w kostiumie. Śpiew w języku francuskim. Podziwiać zawsze musimy w Pani Rywackiej doskonałą metodę śpiewu i wyborną artystkę dramatyczną. W następującym ustępie z dramatu Deborah panią Aszpergerową gdy się okazała na scenie powitały oklaski kilkanaście minut trwające, a że się od tych oklasków nikt niewyłączył, więc wnosić z nich można, jak powszechnie lubiona jest ta artystka, jak to wszystkich cieszyło iż ją widzieć mogą na scenie. Cóż powiedzieć o grze Pani Aszpergerowej? Jest to jedna z najtrudniejszych scen, gra uczuć najsprzeczniejszych, namiętności graniczące o obłąkanie, godność osobista, duma, miłość, a przytem chęć zemsty. I nadzwyczajnej siły potrzeba do odegrania tej sceny, i nadzwyczajnego talentu. A zdaniu temu któż podołać lepiej mógł do tej, której śmiało palmę pierwszeństwa między dramatycznemi artystkami polskiemi przyznać można. Trzykrotnem też przywołaniem uczciła powszechność panią Aszpergerową.

Pięknym czystym głosem odśpiewała pani G. Romancę: Żebraczkę z Proroka. Przy większej śmiałości nierównie lepiej powiódłby się był ten śpiew; lecz od dyletantki trudno śmiałości tej żądać.

Następnie odegrano akt 4. z komedyi Fredra: Zemsta. Równie długiemi oklaskami jak panią A. powitano i pana Nowakowskiego, podobnie i resztę w tej sztuce udział biorących: pana Rudkiewicza, Starzewskiego i Gołębiowskiego, pp. Rutkowską i Rudkiewiczówną.

Przedstawienie to przypomniało nam najświetniejsze czasy sceny polskiej we Lwowie, kiedy pisał dla niej hr. Fredro i sam uczęszczał na próby, sam uwagami swemi wpływał na pojęcie i oddanie ról. Nigdzie też lepiej jego komedyi nie grano a osobliwie Zemsty, w której z towarzystwa sceny lwowskiej obsadził sam szanowny poeta jak najstosowniej wszystkie role. Nikt nam tego niezaprzeczy, że jak pani Aszpergerowa do ról dramatycznych bohatyrek, tak pan Nowakowski do ról dawnych Polaków, do ról ojców, równie jak i do ról charakterystycznych w komedyi stoi dzisiaj najwyżej między artystami polskimi. Grający z nim razem p. Rudkiewicz i p. Starzewski, (Dyndalski i Papkin) Rejmers (Wacław) i panna Rutkowska dokompletowali tej pięknej całości, którą się zawsze przedstawienia dawniejsze tej sztuki odznaczali. Oprócz tego w młodej pannie Rudkiewiczównej (Klara) poznaliśmy talent, którego szkoda iż dla sceny nie pozyskano.

Wszyscy grający po trzykroć przywołani zostali. W komedyjce a raczej dyalogu Elzholza, przełożonym przez pana Thulliego: *Pójdź tu*, po raz drugi wystąpiła pani Aszpergerowa. Jest to rola popisowa dla artystki. Ma ona jedynie w najrozmaitszym sposobie powiedzieć te słowa, a jednak tyle gry w te dwa wyrazy włożyć, aby charakter cały osoby, sytuacją, uczucie, namiętność jej przedstawić. Otóż z zadania tego wywiązała się pani Aszpergerowa z takiem powodzeniem, iż nieskończonemi oklaskami okryta, kwiatami w całem znaczeniu tego słowa zasypana została. Przywołano ją po trzykroć. Nadmienić tu musimy iż mylnie z ostatnich słów p. Aszpergerowej wnoszono, iż już jest angażowana. Słowa te były jedynie w roli jej. Jak Gazeta Lwowska w sprawozdaniu dyrekcyi teatru donosi, pani Aszpergerowa i pan Nowakowski angażowania od teraźniejszego dyrektora pana Chełchowskiego przyjąć nie chcą.

Piękny mazurek *Czarne oczy*, odśpiewany przez panią Rywackę zachwycił wszystkich. Powtórzyć go musiała równie jak i drugi, kompozycyi pana M. Madejskiego, którego zakończenie bardzo trafnie zastósować można do pań zajmujących się zakładem szwalni i zakładem połączonym z nim sierót. One to szczerem zajęciem się los sierot łagodzą za co

Zapłata w nagród chwili
Tam u niebios bram.

One to zręcznem pokierowaniem stworzyły takie przedstawienie jakie długo w pamięci powszechności pozostanie. Wszyscy z rozradowanem obliczem, z zadowoleniem wysokiem z doznanych w teatrze wrażeń wracali do domu, jak z gościny miłego sąsiedztwa, gdzie uprzejma i dostojna gospodyni, umiała wszystkich ująć dobrem przyjęciem, stosownem dla każdego pomieszczeniem, gdzie każdy znalazł pokarm pożywny dla umysłu i serca, jak też i nawzajem sposobność mu dano okazania swego myślenia sposobu.

W końcu podziękować musimy panu Glöglowi, dyrektorowi teatru niemieckiego, za bezinteresowne bo tylko za zwrotem kosztów odstąpienie na ten wieczór teatru i zaję-

ciem się porządkiem i wprowadzaniem naszych dyletantek i artystek polskich na scenę.

Najdostojniejszy Cesarzewicz Jegomość zaszczycił to przedstawienie swoją obecnością, i aż do końca raczył bawić w teatrze.

Rozmaitość.

* Stolica nasza była widownią tragicznego zdarzenia, któremu nic nie brakuje, co tylko stanowi najtragiczniejszą tragiczność, bo jest w nim i miłość szalona, ta rodzicielka cnót i występków, i blada zazdrość, matka nudnej żółtaczki, twórczyni mąk najokropniejszych, przed któremi niech nię schowają dawne tortury hiszpańskie; jest nareszcie i mord dokonany, owoc zazdrośnej miłości. Pan X. kochał się w pani Y. a choć się kochał długo, i oboje byli już w wieku dojrzałym, kochał szalenie, kochał zapamiętale. Pani Y była chłodniejsza nieco w zapałach miłośnych, twierdząc że nic tak płci nie szkodzi, nic tak nie wzmaga zmarszczek na twarzy, nic tak oczów nie czerwieni i nie podbija, jak wszelka namiętność. A przytem pani Y dzieląc uczucia swe na więcej przedmiotów, nie mogła je skupiać na jedną osobę pana X. Oboje mieszkali pod jednym dachem; pan X, wzdychał na dole, pani Y z góry pierwszego piętra wyglądała na kochanka. Pan X zaczajony na dole z okiem w dziurce od klucza, śledził idących i wracających, a obdarzony nosem zazdrośnego kochanka, który daleko w tyle zostawia nos trufli szukającego wyżła zwąchał zawsze skradających się po schodach wielbicieli pani Y.

Wpadał wówczas w zazdrość gorączkową, stawał się Orlandem furiozo, Otellem, typem najkapitalniejszym do studiowania tej brzydkiej namiętności. Zazdrość jego była tak wygórowana, że nietylko zazdrościł jednemu z przyjaciół domowych, który odwiedzał często panią Y, ale nawet kotkowi angorskiemu o włosie popielatym, którego pani Y wielce miłowała i obdarzała pieszczotami, na których widok pan X połykał ślinę i zęby zacinał. Prócz wielu innych, najwięcej był o te dwie istoty zazdrośny. Nieraz z włosem najeżonym wpadał na górę, i wyrzucał z siebie ławę swych uczuć burzliwych, lecz daremne było to jego natężenie; dostawał zwykle kpa i wracał z kwitkiem i zmytą głową. Pani Y śmiała się z jego zazdrości, i równie dobrze przyjmowała domowego przyjaciela, równie czule pieściła angorskiego kota. Nieszczęśliwa gdyby przewidzić mogła, przeczuć jak okropny czeka ją cios, odgadnąć że stanie się bohatyrką czarnego jak noc dramatu! Po jednej okropnie burzliwej scenie, gdy nic nie pomogły i łzy i przeklęctwa, słowa i wzdychania, bicie pięścią w głowę a nogą w podłogę, wybiegł w szaleństwie z okropną myślą w głowie. Krzyczał choralnym głosem: biada! biada! biada! Postanowił zostać samobójcą... tak jest pan X postanowił odebrać sobie to życie, co mu tak już zmierzło. Ale że to był dzień, w którym zwykle golił sobie brodę, postanowił brzytwą poderznąć sobie gardło. Kilka godzin przepędził nad ostrzeniem odwagi i brzytwy, a gdy już odwaga stanęła na równi z brzytwą.. przy ciemnem świetle smutnej łojówki, która fantastyczne na ścianę rzucała cienie, usiadł przed zwierciadłem, i przestraszył się samego siebie. Pan X był zawsze brzydkim; drząca samobójcy odwaga zrobiła go obrzydliwym. Zadrżał raz tylko... wszak w takiej chwili można dostać drzączki... i przyłożył brzytwę do wyciągniętej szyi. Wtem drzwi źle przymknięte, skrzypnęły z lekka, i wszedł przez nie w tej chwili złowrogiej jego rywal. Myśl nagła gdyby łyskawica przemknęła przez głowę samobójcy, i oświeciła tę prawdziwą otchłań!.. Zemsty załaknął.. Mamże sam siebie zarzynać, kiedy mogę wroga! Rozumowanie to nie głupie było, co dowodzi że wielkie chwile, w wielkich ludziach wielkie tworzą rzeczy. Skoczył jak hyena, porwał wroga silną pięścią, przyłożył brzytwę, i jednem machnięciem przerznął mu gardziel. Trup wypadł mu z ręki; krew bryznęła mu gorąca w oczy; to go obudziło z szału.

Przestraszył się sumieniem gnany, wybiegł na ulicę i całą noc przemęczył się, pijąc do dna szklankę z ponczem. I stał się cud!.. Morderstwo to wyleczyło go na zawsze i z miłości i z zazdrości. Pani Y. pałająca zemstą która jak wiemy jest potrawką bogów i kobiet ulubioną, chciała go oddać w ręce karzącej sprawiedliwości, lecz go dotąd ująć nie mogło, bo pan X. tuła się dotąd z kawiarni do kawiarni. A z resztą cóż jej pomoże.... nikt już nie wróci życia biednemu śmiercią lorda Castlereagh zmarłemu kotkowi.

Przyjechali od dnia 16. do 18. Kwietnia. do Lwową.

PP. Starzyński Leopold hr. z Ditkowec. Korytowski Erazm, z Płotycz. Ciepielowski Albin z Suszczyna. Zawadowski Tomasz, z Zagrobelli. Paluszyński Józef, z Mokrzan. Sidorowicz Jan, ze Stryja. Badeni Władysław hr. z Surochowa. Gnoiński Alexander z Krasnego. Niewiadomski Tadeusz, z Soposzyna. Szymanowski Franciszek, z Spasowa. Czajkowski Hipolit, z Dydiatycz.

PP. Czerkawski Józef, z Meryszczówa. Thorznicki Piotr, z Dombrówki. Matkowski Stanisław z Jezierzan. Sokołowski Konstanty z Oleska. Wiktor Tadeusz, z Makowisk. Zawadzki Seweryn, z Firlejówki. Stepnowski Władysław, z Firlejówki. Biliński Onufry z Chocina. Nowosielski Ludwik, ze Zbory. Suchodolski Leon, ze Sosnowa. Zgardziński Konstanty, z Ulicka.

Wyjechali od dnia 16. do 18. Kwietnia ze Lwowa:

PP. Rychalski Feliks do Derewlan. Czacki Aleksander hr. do Krechowa. Dzieduszycki Kazimierz hr. do Niesłuchowa. Smarzewski Seweryn do Harkowic. Łoś Włodzimierz hr. do Dołżanki. Jabłonowski Ludwik hr. Kopyczyniec. Rodkiewicz Józef do Krzywczy.

PP. Parys Adam hr. do Janowa. Frankenberg Ludwik hr. do Nadworny Bartmański Oswald do Wielkiego Waredynu. Strzelecki Krzystof do Płuhowa. Strzelecki Bronisław do Płuhowa. Domaradzki Ludwik do Kołodziejowa. Wiśniewski Ludwik do Putiatycz. Gnoiński Aleksander do Krasnego.

Lwów, 18. Kwietnia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. — kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 27 złr. 30 kr. do 29 złr. — kr. Jeczmienia po 23 złr. 45 kr. do 24 złr. — kr. Owsa po 15 złr. — kr. do 17 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 12 złr. 30 do 13 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do — złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. 5 kr. do 5 złr. 38 kr. Centnar słomy 2 złr. 50 kr. do 3 złr. 15 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 18. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$126\frac{1}{4}$	Pożyczka 5% $81\frac{9}{16}$ $4\frac{1}{2}$	$71\frac{1}{2}$
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{2}$	Akcye banku	996
Londyn za 1 funt szterl.,	12 20	Kolej północna	$1947\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$125\frac{1}{8}$	Obl. ind.	$73\frac{1}{4}$
Paryż za 300 franków .	$147\frac{3}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$101\frac{7}{16}$
Agio duk. ces. . . .	$29\frac{5}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$85\frac{15}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

		Gotówką			towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	48	złr.	5	kr.	52
Dukat cesarski	«	5	»	52	»	5	«	56
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	6	»	10	«	10
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	54	»	1	«	56
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	92	«	45	»	93	«	20
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		73	»	36	»	73	»	56
5 proc. pożyczka narodowa		84	»	50	»	86	«	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**